

# HOLLOW CITY

Dochodziła godzina trzecia, gdy w czerni nieba pojawiła się odległa poświata miasta. Prowadziłem auto nieprzerwanie od dziewięciu godzin, to znaczy z krótkim postojem, zaraz po północy, na tankowanie i wypicie mocnej kawy. Mimo kawy czułem się jednak senny. Pokonywane z wcale niemałą prędkością kilometry zdawały się wydłużać z każdą upływającą minutą, z każdym zakrętem szosy, z każdym wzniesieniem. Kierownica twardniała w nadwężonych dłoniach, pedał gazu poddawał się naciskowi stopy z coraz większym oporem. Ruch na szosie zupełnie już wygasł, od dłuższego czasu nie widziałem żadnych świateł z przeciwka ani w tylnym lusterku. Senność próbowałem przezwyciężyć słuchając muzyki z kompaktu, paląc papierosa za papierosem i raz po raz uchylając szeroko okno. Świeże leśne powietrze letniej nocy przyjemnie owiewało twarz, lecz huk opon na asfalcie i świst wiatru zagłuszały muzykę. Z tych dwu przyjemności wolałem słuchać niż oddychać, więc po paru chwilach zasuwałem szybę, by znów ją odsunąć, gdy wewnątrz auta przepełniało się zużytym duszącym dymem.

Choć byłem dopiero w połowie drogi do wyznaczonego celu, to jednak wbrew wcześniejszemu zamiarowi postanowiłem zatrzymać się na nocleg w tym mieście. Dalsza gonitwa z czasem nie miała sensu, choćby dlatego, że mogłaby skończyć się dramatycznie - w zawieszeniu na jakimś ślepym drzewie, upadkiem w przepaść, zaśnięciem na zawsze. Pojawienie się żółtawej łuny nad wierzchołkami drzew było najprzyjemniejszym doznaniem tej długiej nocy. Odczułem z wolna ogarniający mnie spokój, od dawna wyczekiwane wytchnienie, ogromne znużenie tą długą drogą.

W pewnej chwili w reflektorach auta błysnęła fosforyzująca z daleka tablica informacyjna na poboczu. Wkrótce napis stał się czytelny: „Witamy w Hollow City” i nieco poniżej, mniejszymi literami: „Miasto wiecznego spokoju”. Gdy auto przemknęło mimo, znikła w ułamku sekundy, jak gdyby ktoś mocarny chlusnął nań hektolitrem czarnej farby.

Feeria świateł stawała się coraz jaśniejsza i coraz dokładniej widziałem poszczególne punkty ulicznych latarni. Wypełniały one dość szeroki obszar, świadcząc o tym, że miasto mogło mieć około stu tysięcy mieszkańców. Wreszcie, minąwszy z rzadka zabudowane przedmieście, znalazłem się na szerokiej, jasnej niemal jak w dzień ulicy. Zwolniłem jazdę do dozwolonej prędkości i rozglądałem się po budynkach w poszukiwaniu motelu. W oddali spostrzegłem migający neon stacji benzynowej i minimarketu. Machinalnie sięgnąłem po paczkę papierosów i dotykiem palca oszacowałem jej zawartość. Papierosów nigdy za wiele. Włączyłem kierunkowskaz i zatrzymałem się pod zadaszeniem.

Przy pompach stały dwa samochody, lecz kierowców nie było. Zgasilem światła, wyłączyłem silnik i nie zakluczając drzwi poszedłem do obszernie oszklonego pawilonu. Rozsunęły się skrzydła drzwi i ze środka dobiegły tony jakiejś sentymentalnej piosenki. Domyśliłem się, że musiała to być miejscowa stacja radiowa, która nadawała te smutne kawałki dla tych, co nie mogą zasnąć. Nieraz sam byłem wdzięczny radiowcom za ten kojący repertuar.

Ruszyłem przed siebie i idąc między wypełnionymi po brzegi półkami, zbliżyłem się do lady, lecz sprzedawcy nie było. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że kierowców także nie było. Oparłem się o najbliższy regał i czekałem, lecz ten nie nadchodził. Sięgnąłem po jedną z leżących nieopodal broszur dla turystów i zacząłem ją bezwiednie przeglądać.

Sentymentalna piosenka skończyła się, po czym bez zapowiedzi spikera popłynęła następna, równie smutna. Jakaś dziewczyna, której głosu nie znałem, śpiewała o jakimś nocnym mieście. Zaciekały mnie słowa, ponieważ refren brzmiał tak jak ten napis na tablicy przy szosie: „Hollow City. The city of eternal peace”. Musiała to być miejscowa dziewczyna, która zapewne chciała przypodobać się swej publiczności, a może samemu merowi rady miejskiej, który być może, w ramach popierania lokalnego patriotyzmu, sfinansował to nagranie. Byłby to całkiem ładny obyczaj.

Po paru chwilach zniecierpliwiło mnie to czekanie. Podszedłem do drzwi prowadzących na zaplecze, i krzyknąłem na powitanie. Odpowiedziała mi cisza. Krzyknąłem raz jeszcze - cisza. Pomyślałem, że sprzedawca musiał wyjść do toalety na zewnątrz budynku. Życie w prowincjonalnych miastach jest na ogół spokojne i bezpieczne, pozostawienie na parę minut sklepu bez opieki skończyłoby się w wielkim mieście rabunkiem. Ale widać nie tutaj. Od wielu lat marzyłem o tym, by osiedlić się w małym mieście. Było to jednak marzenie-ułuda, gdyż w gruncie rzeczy w małym mieście mało się dzieje. Powszechna senność i nuda. Rzeczywiście, wieczny spokój. Raczej święty spokój. Czas płynie wolno, życie trwa dłużej. Tyle że życie tego sprzedawcy trwa chyba zbyt długo!

Wyszedłem przed budynek i udałem się w kierunku strzałki wskazującej WC. Zapukałem do drzwi i krzyknąłem to samo co wcześniej powitanie. Cisza. Nacisnąłem klamkę, drzwi ustąpiły, w kabinie nie było nikogo. Co u licha? Rozejrzałem się dookoła. Samochody stały w tych samych miejscach. Przeszył mnie dreszczyk zimna, co przy tej pogodzie było zastanawiające. Wróciłem do środka i odczekawszy jeszcze parę minut, odliczyłem monety, położyłem je na ladzie i wziąłem z półki paczkę papierosów. Odjeżdżając, raz jeszcze rozejrzałem się wokół, lecz nikogo nie spostrzegłem. Trudno.

Motel znajdował się kilkaset metrów dalej. Był to estetyczny, schludny parterowy budynek, otoczony klombami kwiatów, przystrzyżonym jak dywan trawnikiem i kolekcją niskich drzewek palmowych, których liście błyszczały w świetle reflektorów. Zatrzymałem się na parkingu, na którym stało kilka innych aut i skierowałem się do recepcji. Drzwi były otwarte, więc odważnie wszedłem do środka. Na kontuarze świeciła się nocna lampka, lecz i tutaj nikogo nie było. Sięgnąłem po mały złoty dzwoneczek i potrząsałem nim delikatnie, jak gdybym obawiał się, że kogoś obudzę, a przecież w tym właśnie celu potrząsałem. Niezachwianie trwała nocna cisza. Przez drzwi w głębi pokoju, zasłonięte gęsto sznurkami, z nanizanymi nań kolorowymi muszelkami, przedostawało się światło z pomieszczenia na zapleczu. Rozgarnąłem sznurki i wsunąłem głowę do środka. Była to niewielkich rozmiarów kuchnia, z której prowadziły dalej kolejne drzwi. Zawołałem cicho, prawie szeptem. Znowu odpowiedziało mi milczenie. Niewątpliwie kuchnia należała do prywatnej kwatery właściciela lub menedżera motelu. Nie chciałem zakłócać jego świętej prywatności, więc cofnąłem się do recepcji i chwilę stałem. Być może w tym mieście panuje taki zwyczaj. Wyobraziłem sobie napis na ścianie: „Nocnych klientów nie obsługujemy”. Mimo wszystko poczułem się trochę jak intruz.

Minęło parę minut, gdy wreszcie zdecydowałem się postąpić zgodnie z domniemanym nocnym obyczajem. Z tablicy z kluczami zdjąłem pierwszy z brzegu, na kartce skreśliłem parę słów wyjaśnienia i wyszedłem na zewnątrz. Z bagażnika samochodu wytaszczyłem torbę podróżną, pozamykałem drzwi i szukając odpowiedniego numeru udałem się do właściwego, wybranego ślepym trafem pokoju.

Wewnątrz było duszno, jakby od dawna nikt tutaj nie wietrzył. Odsunąłem szybę w oknie i rozpakowując torbę zostawiłem drzwi szeroko rozwarte. Widok obszernego łóżka pośrodku pokoju nasilił moją senność. Rozebrałem się do naga i wieszając ręcznik na przedramieniu, jak kelner wiesza serwetę, podreptałem do łazienki. Woda pod prysznicem była drugą tej nocy przyjemnością.

Skończywszy wróciłem do pokoju i zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo byłem nieostrożny. Na stoliku obok łóżka leżał mój portfel, wypełniony grubo banknotami, i wszystkie moje dokumenty. Popchnąłem stopą drzwi, trzasnęły dość głośno, i zabezpieczyłem je łańcuszkiem. Wytarłem się ręcznikiem do sucha i chcąc się uczesać rozejrzałem się za lustrem. Nie było żadnego ani w pokoju, ani w łazience, co wydało mi się poważnym niedopatrzaniem ze strony dyrekcji, tym bardziej że wyposażenie motelu i jego zewnętrzny wizerunek zdawały się spełniać warunki wcale wysokiego standardu. Nareszcie runąłem nagi na łóżko i nie przykrywając się ani nie gasząc światła, natychmiast zasnąłem. Nazajutrz otworzyłem oczy wypoczęty jak dziecko. Spojrzałem na zegarek, dochodziła godzina trzecia. Poderwałem się jak oparzony na równe nogi i od razu porwała mnie frustracja, że tak bardzo zasnąłem. Tak oto kończy się z góry przegrana walka z czasem. Długotrwałą jazdą przesiliłem organizm i teraz zamiast dobiegać celu podróży wciąż byłem w połowie drogi.

Wstałem z łóżka i poszedłem do łazienki. Po drodze włączyłem telewizor, lecz na tym kanale nie było żadnego programu. Przeszukałem pozostałe, lecz i na nich trwała cisza i pustka. Włączyłem radio - rozległy się dźwięki sentymentalnej, instrumentalnej melodii. Miasto świętego marazmu!

Moja frustracja sięgnęła szczytu, gdy próbowałem się ogolić, brak lustra rekompensując wędrówką palców po twarzy, które odliczały oczyszczone z zarostu centymetry kwadratowe skóry. Byłem przekonany, że pozostawiłem liczne niedogolone miedze, wystawiając się na pośmiewisko. Tak czy owak dokończyłem toalety, założyłem świeżą odzież, spakowałem torbę i wyszedłem na zewnątrz.

Uderzyło mnie wilgotne ciepło, przymknąłem powieki, chroniąc oczy przed blaskiem, po czym robiąc z dłoni daszek podziwiałem wspaniały widok. Miasto leżało w rozległej kotlinie, z trzech stron okalały je dość wysokie połoniny o lesistych, ciemnozielonych garbach. Z czwartej strony, z tej, z której przyjechałem, widać było linię płaskiego jak stół horyzontu. Sprawiało to wrażenie, jak gdybym zajechał na koniec świata, skąd można było jedynie zawrócić. Natura bywa czasem Bosko szczodra. W moich wędrówkach zdawało mi się, że wszystko już widziałem, że niczym więcej nie umiem się zachwycić. Wszak widziałem najpiękniejszą na świecie plażę na małej wysepce pośród Pacyfiku - jaka jeszcze plaża może być urokliwsza? Z samolotu widziałem śnieżne Himalaje - jakież jeszcze góry mogą być cudniejsze? W Taman Negara żyłem jak dzikus w głębokiej dżungli - jakież inny las może być wspanialszy? A jednak to miejsce, tak proste i tak bliskie, niby zaułek skryty na końcu dalekiej drogi, nie miał w mojej pamięci równych sobie. Stałem chwilę, patrząc przed siebie i chciwie łaknąc powietrza, po czym złożyłem torbę na dnie bagażnika i udałem się do recepcji.

Jednakże w środku nikogo nie było, nikt nie odpowiedział na brzęczenie dzwoneczka, już teraz nie delikatne, lecz energiczne, stanowcze, zniecierpliwione, świdrujące głęboko w uszach, natarczywe. Domagałem się czyjejś uwagi, żądałem zainteresowania. Attention, attention, oto nadszedł klient!

Cisza.

Wszedłem do kuchni. Nad stołem ledwie tliła się żarówka, której światło rozmywało się w blasku dnia. Podeszedłem do drzwi prowadzących dalej, i ostrożnie zajrzałem za próg. Był to pokój gościnny zadbanego najwyraźniej kobiecą ręką domostwa. Wysprzątaany, pachnący wonią polnych kwiatów, pełen gustownie dobranych mebli i bibelotów, pełen rodzinnych fotografii, poustawianych w stylowych ramkach na stolikach i regałach, porozwieszanych według jakiegoś logicznego klucza na ścianach. Widniały nań twarze czteroosobowej rodziny w różnych okresach życia, począwszy od aktu ślubnego młodych zakochanych, poprzez narodziny dzieci, rozmaite rodzinne uroczystości, wspólne wakacje aż po zreprodukowane, odnowione komputerowo, jednobarwne portrety przodków.

Wyciągnąłem rękę po jedną z ramek, stojącą na okrągłym, przykrytym liliowym obrusem stoliku, lecz zaraz ją cofnąłem, przypominając sobie, że niezależnie od okoliczności jestem w końcu w cudzym mieszkaniu. Spojrzałem płochliwie po pokoju, spodziewając się, że zaraz zobaczę zaskoczonych domowników. Próbując ratować sytuację, krzyknąłem na powitanie, lecz krzyk mój zawisł bez echa w próżnej przestrzeni. Krzyknąłem ponownie, lecz tym razem naszła mnie myśl bardzo dziwna: krzyknąłem mianowicie, aby się upewnić, że nikt nie odpowie. Tak właśnie, pragnąłem, aby nikt nie odpowiedział. Pragnąłem pozyskać odrobinę czasu, by przyjrzeć się bliżej fotografiom, by odczytać historię tej rodziny, rozpoznać, do kogo należą te wpatrzone we mnie zewsząd oczy, kim są ci otaczający mnie w pokoju ludzie. Było to doznanie wyjątkowo ekscytujące, czułem się niczym w sali muzealnej, gdzie ludzkie życie zgromadziło się w przedmiotach i do przedmiotów zawęziło. Lecz jednocześnie czułem się jak najeźdźca, którego za chwilę wypędzą obrońcy tego miejsca, jak złodziej, który w każdej chwili może zostać schwytany. Był w tym jakiś narkotyk, jakiś zastrzyk haju, który nie pozwalał mi dojść do zmysłów. Raz jeszcze sięgnąłem po tę samą ramkę i uniosłem ją w dłoni na wysokość oczu.

Spoglądała na mnie dojrzała kobieta, w trudnym do sprecyzowania wieku. Z innych fotografii wiedziałem, że ma już dorosłe dzieci, musiała więc liczyć przynajmniej około czterdziestki. Tymczasem jej twarz zdradzała utkwioną głęboko w rysach dziewczęcość. Oczy były żywe i wesołe, zdało mi się, figlarne, nieszkodliwie psotliwe, jak oczy zawstydzonej na moment wieśniarki. Lecz wokół tych oczu strzelała we wszystkie strony pajęczyna ostrych zmarszczek, świadczących tyle o upływie czasu, co o trudnych doświadczeniach, o życiu spędzonym w znoju, z dala od lustra i kosmetyków. Zbliżyłem ramkę na długość nosa - ani śladu makijażu. Była to więc twarz kobiety ceniącej naturę. Czy mogło gdzieś istnieć dla niej odpowiedniejsze miejsce na ziemi niż to miasto na końcu świata? Czy urodziła się tutaj, czy też świadomie wybrała to oddalenie od modnego życia, restauracji, karnawałów, balowych sukien, kieliszków szampana? I włosy, jej włosy mówiły wiele o przeszłości i osobie. Były to włosy długie, proste, rozwiane w niejakiem nieładzie, z grzywką zachodzącą na brwi. Były to włosy młodej dziewczyny, a nie dojrzałej kobiety i matki. Czyżby więc chciała ona oszukać czas? Czy żyła wewnątrz w latach swej młodości?

Odstawiłem ramkę na miejsce i zacząłem szukać odpowiedzi w innych fotografiach. Lecz dotykając kolejnych, czułem się onieśmielony, zawstydzony tym moim szperactwem w cudzym życiu. Czułem się także obserwowany, jak gdyby gdzieś w pokoju rejestrowała moje wścibstwo ukryta kamera. Być może było to tylko nieuzasadnione wrażenie, wywołane galerią martwych, lecz wpatrzonych we mnie oczu. Zdawało mi się, że ogląda mnie tłum widzów, tłum sędziów raczej, surowo i bezwzględnie potępiając moje uczynki. Jednak narkotyk nie przestawał działać, przeciwnie, coraz mocniej obezwładniała mnie jego siła. Poznawszy przyczynę do życia tej kobiety, pragnąłem zgłębić całą resztę, wyrwać z sekretu najintymniejsze szczegóły, posiadać całą o niej prawdę.

Na półce z książkami zauważyłem stos grubych albumów. Wziąłem jeden do ręki, lecz znów ogarnął mnie niepokój. Jeśli usiądę w fotelu i zacznę kartkować ten album, jeśli założę nogę na nogę, może zapalę papierosa, zaparzę sobie kawę - kim właściwie będę w tym obcym domu? Co zrobią mieszkańcy, gdy nagle wrócą? Oprzytomniałem. Położyłem album i skierowałem się do następnych drzwi, prowadzących do holu i stamtąd do pokoiów sypialnych, łazienki oraz na zewnątrz domu. Nigdzie nie było żywej duszy. Dość tego! Nie moja to wina, że nikt nie pilnuje interesu! Tą samą drogą wróciłem do recepcji. Nie zdołałem jednak powstrzymać ostatniego spojrzenia na rodzinne albumy. Tęsknego spojrzenia.

Kartka, którą zostawiłem poprzedniej nocy, wciąż leżała nietknięta. Nabrałem dziwnych podejrzeń, lecz co mnie to obchodzi? Zgniotłem ją w palcach i zapisałem drugą, wyjaśniając w kilku słowach, co zaszło. Z portfela wyjąłem banknot i sądząc, że to wystarczy, położyłem go wraz z kluczem na ladzie obok kartki i ruszyłem do samochodu. Kiedy miałem już wsiąść do środka, zauważyłem, że w jednym z okien pokoiów dla podróżnych poruszyła się na moment kotara. Spojrzałem na auta i wydało mi się, że wszystkie stały tak jak ubiegłej nocy. Nie odjechało żadne. Cofnąłem się i podszedłem do drzwi, które okazały się lekko uchylone, stukając jednocześnie w okienną szybę. Nikt nie odpowiedział. Zastukałem drugi raz, aby się upewnić i pchnąłem drzwi. Łóżko było niezasłane, na poduszce widniało wyraźne wgłębienie od głowy. Na podłodze leżała walizka z otwartą pokrywą, na nocnym stoliku - męska saszetka na pasku, jakich nikt już nie używa. Z boku świeciła się lampka. Wszedłem do środka, lecz w tej samej chwili cofnąłem się machając bezradnie ręką.

Wróciłem do auta, usiadłem za kierownicą i wcisnąłem kluczyk w otwór stacyjki. Gdy go przekręciłem, zapaliły się wszystkie wskaźniki, lecz silnik pozostał martwy. Na zegarze dochodziła godzina trzecia. To niemożliwe! Spojrzałem na ręczny zegarek - dochodziła godzina trzecia! Toaleta zajęła mi przecież kilkanaście minut, ponadto w domu także spędziłem co najmniej kilka minut. Wsiadłem i pobiegłem z powrotem do pokoju. Na elektronicznym zegarze w radiu również dochodziła godzina trzecia. Wcisnąłem włącznik i rozległy się dźwięki jakiejś sentymentalnej, instrumentalnej kompozycji. Usiadłem na brzegu łóżka i zacząłem przepędzać nienaturalne myśli. Czyżby dochodziła godzina trzecia nad ranem? Czyżby w tym mieście wiecznego spokoju nie upływał czas? Czyżby nie było tu ludzi? Co za nonsens! Jeśli istnieją jakieś nieznanne wymiary czasu, to być może w kosmosie, lecz nie na Ziemi. Zresztą, jak dotąd, nie ma na to naukowych dowodów. Owszem, można do woli fascynować się fantastyką, ale tutaj, w tym mieście o realnej nazwie geograficznej Hollow City, jak Salt Lake City, jak Mexico City, idzie o prawdziwe życie, idzie o ludzkie życie, nie o zabawę.

Nagle powróciło moje wcześniejsze, oczywiście absurdalne podejrzenie, które już od wczorajszej nocy, gdy tylko przekroczyłem granicę tego miasta, starałem się odpychać: czyżbym śnił? Czy zasnąłem za kierownicą? Czy za chwilę nastąpi katastrofa, samochód uderzy w jakieś ślepe drzewo, runie w przepaść? Czy za chwilę zasnę na zawsze? Były to pytania realne, nie wyśnione, lecz realne. Powinienem w tej chwili natychmiast się obudzić, porażony śmiertelnym strachem! Serce powinno załomotać aż po skronie. Krtań powinna zacisnąć się w przerażeniu. Krew powinna uderzyć do głowy, a tlen dopłynąć do mózgu w otrzeźwiającej dawce. Lecz nic takiego nie odczułem. W dalszym ciągu siedziałem na skraju łóżka w cudzym pokoju, z głośnika płynęła ta sama sentymentalna melodia. Co zatem zaszło? Co dzieje się wokół? A może nie żyję? Może nastąpiła już katastrofa i zginąłem na miejscu nie obudzwszy się nawet? Lecz brzmi to jak kolejny nonsens. Przecież paliłem papierosy, czerpiąc rozkoszną dawkę nikotyny. W dalszym ciągu jestem, dzięki Bogu, uzależniony. Odczuwam potrzeby fizjologiczne. Tak właśnie, jestem także po prostu głodny, a słyszałem, że umarli nie czują głodu.

Wstałem i pośpiesznie opuściłem pokój, bojąc się, że nadejdzie jego mieszkaniec i spłonę ze wstydu, tłumacząc się zawile i głupawo, że stanęły zegary. Zaniepokoiłem się jeszcze bardziej, tym razem o swoje zdrowie psychiczne.

Lecz nie na długo. Bowiem gdy usiadłem znów za kierownicą, spojrzałem w lusterko, aby sprawdzić dokładność ogolenia i w ogóle, tak bez specjalnego powodu, spojrzeć sobie prosto w oczy. Jednak lusterka nie było. To znaczy była oprawa, przytwierdzona do szyby, i było szkło, ale zamiast powłoki srebrnolubnej miała jakąś czarna, matowa otchłań.

Spojrzełem w boczne lusterka - były tak samo upiorne. Czyżby więc miał to być horror? Nie Hollow, lecz Horror City?

Drżącą dłonią sięgnąłem po książkową mapę, która leżała na siedzeniu pasażera. Odpowiednia strona była zaznaczona tasiemką. Rozchyliłem kartki i począłem śledzić wczorajszą trasę. Wszystkie miasta i wioski, przez które przejechałem, wciąż znajdowały się na swoich miejscach, lecz Hollow City znikło. Nie mogłem uwierzyć oczom. Farba drukarska nie znika z papieru. Sprawdziłem raz jeszcze, przesuwając palec po mapie jak kartograficzny analfabeta. A jednak nie myliłem się, miasta na mapie nie było. Czyżby halucynacja? Czyżbym uległ pomieszaniu rozumu? Zamknąłem oczy, próbując odzyskać równowagę. Otworzyłem oczy. Z całą pewnością miasta nie było. Gdzie więc jestem, jeśli Hollow City naprawdę nie istnieje? W niebie? W piekle? W czyściecu? Na sądzie ostatecznym? A może miasta nie naniesiono na mapę, może zdawało mi się tylko poprzedniej nocy, że je widziałem? A może rzeczywiście nie żyję? Jeżeli jest to moment śmierci, to wcale nie jest ona tak przerażająca, jak powszechnie się uważa. Jeśli jest to moment szaleństwa, to jest to szaleństwo dziwne, ludzako przypominające normalność. Lecz może granica pomiędzy jednym a drugim jest tak znikoma, że chory psychicznie nie umie jej dostrzec? A zdrowy?

Rozzłoszczony tymi myślami, z całej siły przekręciłem kluczyk w stacyjce. Silnik zamruczał rozbudzony z długiego snu. Ruszyłem z parkingu i na chwilę zatrzymałem się przy wjeździe na ulicę, nie mogąc się zdecydować co do kierunku dalszej jazdy. Oczywiście podróż zamierzałem kontynuować, lecz ciekawiło mnie, co dzieje się na stacji benzynowej. Ostatecznie dałem jednak za wygraną i zdecydowałem się czym prędzej opuścić to przeklęte, choć uroczo położone miasto.

Nacisnąłem pedał gazu i koła poczęły toczyć się po równej nawierzchni. Na ulicy nie było żadnego ruchu, samochody stały zaparkowane przy krawężnikach, przed domami, na placu wokół supermarketu, którego nazwy nie znałem. Minałem kompleks nowoczesnych biur ze szkła i stali, aluminiowy barak jakiejś fabryki, rozległy park pełen przepięknych trawników, pośród których wily się wyźwirowane alejki. Działała sygnalizacja świetlna, wystawy sklepowe zachęcały do zakupów, banki polecały swe usługi, z kolorowych billboardów krzyczały agresywne reklamowe slogany: Krem na zmarszczki! Elixir młodości! Złote zegarki marki Hollow, najlepsze na świecie! Twoja stacja radiowa - Radio Hollow, 87.5 FM! Miasto wyglądało jak żywe, lecz nie było w nim ludzi.

Nagle zatrzymałem auto, gdyż przejazd zagrażały porzucone maszyny na gąsienicach i wał rozkopanej ziemi. „Roboty drogowe” - informowała czarno-żółta plansza. „Objazd” - wskazywała kierunek ledwie widoczna strzałka. Podążyłem w tę stronę, lecz nim minęło pięć minut, to znaczy wydało mi się, że upłynął ten czas, napotkałem kolejną przeszkodę i podobny znak: „Roboty drogowe”. Tym razem nie było strzałki wskazującej kierunek objazdu, nie było też alternatywnej drogi. Zawróciłem i wtem dostrzegłem nadjeżdżający z przeciwka samochód. Był tej samej marki i koloru co mój. Człowiek! Człowiek! Nacisnąłem mocniej pedał gazu i zbliżyliśmy się do siebie. Kilkakrotnie nacisnąłem klakson, zacząłem mrugać reflektorami, włączyłem światła awaryjne, uchyliłem okno i energicznie machałem ręką, dając do zrozumienia, że chcę się zatrzymać.

Za kierownicą siedział mój sobowtór. Machał ręką przez otwarte okno, mrugał światłami, naciskał klakson. Patrzył na mnie, gdy ja patrzyłem na niego i odwracał głowę, gdy ja odwracałem. Zbliżyliśmy się do siebie na odległość paru metrów i zatrzymałem auto na środku ulicy. I on zatrzymał. Wysiadłem. I on wysiadł. Podeszedłem bliżej. I on podeszedł. Miał niedogoloną twarz i niedoczesane włosy.

- Przepraszam, że przeszkadzam... - powiedziałem, lecz nim dokończyłem, i on powiedział:
- Przepraszam, że przeszkadzam...
- Kim jesteś? - zapytałem, czując, że opuszczają mnie siły.
- Kim jesteś? - zapytał.

Machnąłem ręką. I on machnął ręką. Odwróciłem się. I on się odwrócił. Wsiadłem do samochodu i ruszyłem przed siebie. I on wsiadł i ruszył przed siebie, lecz w przeciwną stronę, w kierunku ślepego końca ulicy. Odwróciłem głowę i dostrzegłem, jak dojechał do przeszkody, zawrócił i podążył w moją stronę. Przyspieszyłem, aby zwiększyć dystans. I on przyspieszył. Zwolniłem. I on zwolnił. Odtąd sunął za mną jak cień, zachowując jednak odległość, która nie pozwalała rozpoznać rysów jego twarzy.

Minałem maszyny drogowe i rozkopaną ziemię i skręciłem w ulicę, prowadzącą do motelu i stacji benzynowej. Nie zatrzymałem się jednak. Podążyłem dalej, w kierunku, z którego poprzedniej nocy przyjechałem. Minałem przedmieścia, znalazłem się na szosie i szybko dotarłem do miejsca, w którym na poboczu tkwiła tablica „Witamy w Hollow City”, odwrócona teraz tylną stroną - z napisem: „Hollow City żegna”. Zatrzymałem auto pół metra od słupa i spojrzałem na zegar. Dochodziła godzina trzecia. Ruszyłem ostro do przodu, zawył silnik, rozległ się przeraźliwy pisk opon. Drzewa po obu stronach migaly szybko, aż zlały się w jeden nierozpoznawalny obraz szarej zieleni, który szarzał coraz głębiej i wreszcie zniknął w czerni nocy.

Gnałem tak przed siebie kilka minut, spoglądając raz w raz na zegar. Czas cofał się. Tak jest! Cofał się do przeszłości. Ogarnęła mnie rozpacz, zacząłem płakać, straciłem na chwilę panowanie nad kierownicą, koła wpadły na pobocze i o mało nie uderzyłem w drzewo. Nie

chcę wracać do przeszłości! Nie chcę wracać do przeszłości! Z całej siły wbiłem stopę w pedał hamulca. Przy tej prędkości był to postępek szaleńczy. Samochodem zarzuciło, obrócił się wokół swej osi i stanął pośrodku szosy. Czerń nieba rozjaśniała luna nad miastem. W oddali błysnęła fosforyzująca tablica informacyjna na poboczu. Ruszyłem wolno w jej kierunku. Wkrótce napis stał się czytelny: „Witamy w Hollow City” i nieco poniżej, mniejszymi literami: „Miasto wiecznego spokoju”. W lusterku widziałem światła podążającego za mną samochodu, lecz gdy minąłem tablicę i znalazłem się w granicach miasta, lusterko pokryło się czarną otchłanią. Na zegarze dochodziła godzina trzecia. Niebo rozjaśniło się i znów ujrzałem lesiste połoniny otaczające to upiorne miasto. Los widocznie dał mi drugą szansę.

Zatrzymałem się na stacji benzynowej. Byłem głodny. Przy pompach stały te same dwa samochody. W pawilonie, gdy wszedłem do środka, płynęła z głośnika ta sama sentymentalna muzyka. Na ladzie leżały pozostawione przeze mnie monety. Spojrzałem na stek gazet - wszystkie miały tę samą, wczorajszą datę. Na pierwszej stronie jednej z nich wydrukowano dużą kolorową fotografię jakiegoś makabrycznego wypadku. Szczątki auta były nierozpoznawalne, zbrukane we krwi, pogięte, połamane. Wokół sterczała grupa gapiów. Przeczytałem wielkie czarne litery: „Kierowca poniósł śmierć na miejscu”. I dalej, już mniejszą czcionką: „Siła uderzenia była tak potężna, że na pięćset metrów poleciała wątroba!” Dziennikarze zawsze przesadzają. Z notatki wynikało, że zwłoki należały do miejscowego okulisty.

Uspokojony, podszedłem do mikrofalówki i zagrzałem sobie hot doga, z automatu nabrałem kawy, sięgnąłem po butelkę lemoniady, po czym wróciłem do lady, położyłem banknot i spośród monet wydałem sobie resztę. Lecz w tej samej chwili dostrzegłem w tym absurd. Rozejrzałem się, jakbym czuł spojrzenia śmiejących się ze mnie ludzi. Oczywiście nikogo nie było. Zgarnąłem banknot i monety na dłoń, już miałem wsypać je do kieszeni, gdy znów poczułem to kontrolujące moje poczynania spojrzenie. Byłem bezradny jak właśnie narodzone dziecko, nie umiałem podjąć tak prostej przecież decyzji. Wreszcie, zmagając się z myślami i walcząc z nasilającym się stresem, ukradłem i pieniądze, i towar, i pośpiesznie wybiegłem z pawilonu.

Wtem dostrzegłem mojego sobowtóra. Siedział w swym samochodzie nieopodal mojego i patrzył na mnie przepelnionym strachem i winą wzrokiem. Uciekłem od tego spojrzenia, cofnąłem się do pawilonu i zwróciłem należne pieniądze. Gdy ponownie spojrzałem na niego, uśmiechał się naiwnie, choć zdało mi się, że trochę cynicznie. Gdyby był człowiekiem, podszedłbym do niego, wyciągnął z auta i pobił po twarzy. Jednak pamiętałem tę bezsensowną próbę rozmowy, kiedy małpował moje słowa, jak lustrzane odbicie.

Zastanowiłem się nagle, dlaczego nie kopiuje mnie teraz? Dlaczego nie wszedł za mną do środka? Dlaczego nie pomógł mi podjąć tej trudnej decyzji? Czy pomógł? Pojawiła się nitka nadziei, że może tym razem uda mi się z nim porozumieć. Potrzebowałem kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, kto mógłby mi wyjaśnić, co się właściwie dzieje. Lecz gdy uczyniłem dwa kroki w jego stronę, uruchomił silnik. Zatrzymałem się. Patrzył na mnie złośliwie, trzymając obie ręce na kierownicy i zabawiając się gazem. Ruszyłem. I on ruszył. Stanąłem. I on stanął. Nareszcie, wyprowadzony z równowagi tym infantylnym zachowaniem, puściłem się za nim biegiem, ciskając weń hot dogiem, kawą i butelką lemoniady i krzycząc na całe miasto, żeby zostawił mnie w spokoju. Uchylił okno i krzyczał to samo. Im szybciej biegłem, tym szybciej odjeżdżał, tak więc zatrzymałem się w końcu i



próbując wyrównać oddech, wróciłem na stację benzynową. Wrócił i on, lecz udawałem, że go nie widzę.

Zaryglowałem drzwi w pawilonie, po czym przygotowawszy jedzenie raz jeszcze, usiadłem na podłodze między półkami i oddałem się rozkoszy spożywania. Hot dog smakował wybornie. Kawowa lura z automatu miała smak najprzedniejszych boliwijskich ziaren. Zjadłem też kilka ciastek z kremem i na koniec rozłupałem czekoladowe jajko i złożyłem z części mały plastikowy samochodzik, który znajdował się w środku. Wychodząc uregulowałem rachunek. Wsiadłem do samochodu i nie patrząc na sobowtóra, odjechałem w poszukiwaniu drogi wyjazdowej z miasta.

Krażyłem jednak jak zatopiony w pralce, jak pochłonięty w kosmicznej czarnej dziurze, której siła grawitacji jest tak ogromna, że nie może wydostać się na zewnątrz nawet światło. Po kilku godzinach znałem już na pamięć plan ulic, wciąż mijając te same budynki, wciąż natrafiając albo na roboty drogowe, albo na ślepe uliczki i końcowe ronda. Pod wieczór zatrzymałem się naprzeciw kawiarenki internetowej i bezskutecznie usiłowałem skontaktować się ze światem, pragnąłem rozesłać w wirtualną przestrzeń mój rozpaczliwy krzyk. Długie godziny, to znaczy czas, który płynął jak godziny, poświęciłem też na przeszukiwanie fal radiowych i telewizyjnych, lecz prócz stacji Radio Hollow, która nadawała swe nudne, sentymentalne kawałki, wywołujące już we mnie mdłości, nie odnalazłem żadnego sygnału. Równie beznadziejnie skończyły się próby zatelefonowania do innych miast, choć z uporem i sumiennie wrzucałem do automatu odpowiednią ilość monet. Zrezygnowany, bliski zadania sobie śmierci, lecz wciąż widząc promyk nadziei, wypisałem na kartce „SOS”, podałem dane geograficzne, kartkę wsunąłem do butelki po lemoniady i butelkę cisnąłem do studzienki kanalizacyjnej. Późną nocą wróciłem do motelu, zamknąłem się w moim, tak, w moim pokoju i leżąc w zupełnej ciemności, długo nie mogłem zasnąć. Pragnąłem przytulić twarz do pluszowego misia, którego dawno, dawno temu porzuciłem gdzieś w dzieciństwie.

Rano zbudziło mnie pukanie u drzwi. Usiadłem na łóżku i na pół świadomie zawołałem:

- Kto tam?

- Kto tam? - odpowiedział głos sobowtóra.

- Fuck you! - zawyłem, zrywając się na nogi.

- Fuck you, too! - odpowiedział dziecięcym głosem, jakby recytował rymowankę i nim zdążyłem wyskoczyć z pokoju, uciekł. Zobaczyłem tylko, że był nagi. Idiota, kimkolwiek jest!

I ja byłem nagi, stojąc w progu pokoju publicznego przecież motelu. Zakryłem się dłońmi, patrząc jeszcze na wszystkie strony, czy nikogo nie ma, po czym zamknąłem drzwi, by powtórzyć te same, mozolne, poranne czynności. Byłem zły na niego, że obudził mnie bez powodu. Byłem zły, że przerwał mi mój sen, choć wcale go nie pamiętałem. Na pewno był przyjemny, robiłem coś ważnego, dokądś zmierzałem, pokonywałem krok po kroku, raczej stawiałem kroczyki, lecz wciąż w wyraźnie widocznym kierunku. A tutaj, na jawie, w tym mieście śmiertelnej samotności i ślepych ulic? W tej wirówce czasu, z której mogłem się wydostać tylko do mej parszywej przeszłości?

- Pomóż mi - szepnąłem do siebie.

- Sam sobie pomóż - odezwał się głos za drzwiami.

Nie był to tym razem głos złośliwy, zdawał mi się szczerzy, jak gdyby na czymś mu jednak zależało. Jak gdyby podsuwał mi jakąś nadzieję. Może wiedział, jak wybrnąć z tej matni, lecz nie mógł mi o tym powiedzieć, gdyż wówczas sposób straciłby skuteczność? Może chciał mi podpowiedzieć, że wyjście leży w zasięgu mojej ręki, że nie trzeba szukać daleko, w jakiejś nieokreślonej przyszłości, lecz tutaj, teraz. Minał przecież wczorajszy dzień i choć błądziłem po okręgu, choć zdawać się mogło, że poruszam się bez celu, to ja jeden wiem, że cel przecież miałem. Po raz pierwszy od wielu lat właśnie wczoraj cel miałem. Wszystko to działa się wokół naprawdę. Hollow City istnieje, tak jak ja istnieje. Trudno nie wierzyć własnym oczom i biciu serca. Nie wolno podważać sensu własnego istnienia. Dotąd zmierzałem bezkresną drogą przez życie, podróżowałem w czasie i przestrzeni, korzystałem ze wszystkich dostępnych mi dobrodziejstw, aż zagubiłem się w tej wiecznej gonitwie i trafiłem tutaj, gdzie zatrzymał się czas, gdzie nie ma luster, w których można zmierzyć się z sobą, gdzie nie ma ludzi, w obliczu których można ujrzeć swą własną tożsamość, do których można się porównać i samoocenić. W odosobnieniu - gdzie można jednak wszystko uporządkować, postawić elementarne pytania i rozsupłać ten ciężki węzeł na szyi.

- Żyjesz jeszcze? - zapytał nieśmiało.

Otworzyłem drzwi, chcąc mu podziękować, lecz uciekł zaraz, podskakując i klepiąc się dłonią po gołym tyłku, jak chłopiec naśladowujący jeźdźca na koniu. Napełniła mnie energia tego groteskowego galopu mego sobowtóra-dziecka. Poszedłem do łazienki, wziąłem letni prysznic i ogoliłem się starannie. Następnie zaszedłem do kuchni w domu właściciela czy też menedżera i zjadłem jajecznicę na bekonie, wypilem kawę, po czym siadając w fotelu w pokoju gościnnym, zapaliłem pierwszego papierosa.

Pałac postanowiłem wprowadzić się wieczorem do tego domu, oczywiście w przypadku, gdy i dziś nie znajdę drogi poza miasto. Nie cel bowiem, lecz droga do celu stała się oto istotą mojej nowej egzystencji, mojego nowego wcielenia jako obywatela Hollow City. Nagle zrozumiałem tę prostą, a dotąd jakże zagmatwaną prawdę o życiu. Poczulem się niby poszukiwacz SETI, nastroiłem swe radioteleskopy, by nie wiedząc, czy kiedykolwiek w ogóle uda mi się nawiązać kontakt z zewnętrznym światem, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, ba, może nawet rok po roku nieprzerwanie, nieustępliwie próbować. Bo kto nie szuka, ten najpewniej nie znajdzie.

Ażeby utwierdzić się w tym wątplym jeszcze przekonaniu, wyobraziłem sobie badaczy kosmosu, którzy wbrew swej ograniczonej wiedzy i wbrew prymitywnej technologii poświęcają całe życie na poznawanie tego, czego być może poznać się nie da. Wysyłają sondy kosmiczne ku dalekim światom, wiedząc przecież, że nawet jeśli gdzieś te światy istnieją, to minie może milion lat, zanim sondy dotrą do celu. W tym czasie zapewne, o ile ludzkość wcześniej nie wyginie, odkryte zostaną nowe metody kosmicznej podróży i archaiczne rydwany naszego wieku pozostaną na zawsze w tyle. Inni szukają negatywnej energii, wierząc niezbitnie, że jej zasoby pozwolą ludzkości przemieszczać się w kosmosie na skróty, z prędkością większą od prędkości światła, poprzez kanały dziur, łączące o dwa kroki skądinąd niewyobrażalnie odległe rejony czasoprzestrzeni, niwecząc tym samym uznane powszechnie kalkulacje Einsteina. Ba, sam Einstein nawet, ogłosiwszy teorię względności, resztę życia zmarnował zmierzając w swych pracach w błędnym kierunku. Już po jego śmierci odkryto, że nigdy nie osiągnąłby celu. Zagubił się biedak, lecz szukał. Podobnie badacze przeszłości mozolą się próbując wydedukować, jak toczyła się historia planety? Skąd wzięło się życie? Jak gruba była lodowa powłoka śnieżnej kuli ziemskiej miliard lat temu i czy na pewno miliard? Jak na dnie zamrożonych oceanów przetrwało

prymitywne życie? W przyszłości, gdy - i jeśli - człowiek zbuduje wehikuł czasu, co zresztą coraz mniej zdaje się być zwykłą fantazją, wszystkie odpowiedzi znajdziemy zapewne bezpośrednio w historii.

Czymże jest wobec tego mój niewielki problem? Samotność w tym mieście? Mam za kompana sobowtóra. Parszywa przeszłość? Nie muszę do niej wracać. Brak drogi w przyszłość? Cieszyć się winienem teraźniejszością - dopóki jeszcze trwa. Nieobecność ludzi? Mam dostęp do ich przeszłego życia, do fotografii w albumach, które być może ożywie, do śladów pozostawionych w tym domu, który być może stanie się z czasem moim domem. Mam wreszcie dostęp do wszystkich innych domostw w mieście, życia mi nie starczy, by je zgłębić. A ponad wszystko, a ponad wszystko mam także nadzieję, że któregoś dnia rozwiklam zagadkę mojego życia, poznam tajemnicę Hollow City i może, być może, będzie to właśnie druga połowa drogi do zagubionego tej ciemnej nocy, gdy stanęły zegary, wciąż odległego celu.

- Ktoś jedzie! - zakrzyknął nagle dziecięcy głosik u progu pokoju.

Wybiegliśmy obaj na zewnątrz. Ulicą sunął wolno samochód. Za kierownicą siedziała kobieta, rozglądając się na boki, jak gdyby czegoś szukała.

- Tutaj, tutaj! - krzyczeliśmy głośno, podskakując jak radosne dzieci. Spojrzała w naszą stronę i pojechała przed siebie. Chwilę potem podążył za nią identyczny samochód.